



AURUM FRATRUM



JAKUB PYTEL

W PODZIEMIACH NIEBIOS

OPOWIADANIE

Jakub Pytel

W Podziemiach Niebios

I

Czy masz czasem wrażenie, że powietrze staje się gęste jak ruchome piaski? Jakby chciało cię objąć i z objąć tych nie wypuścić. Czujesz, że podmuchy wiatru oplatają cię niczym ramiona, a usta z trudem wdychają ciężkie jak woda powietrze. To był jeden z takich wieczorów. Ciepły wiatr uderzał silnie, niczym młot kowalski i targał na wszystkie strony drobnym deszczem, zamieniając go w tańczącą na jego falach mgiełkę. Uciekając przed tą zawieruchą, ludzie pochowali się do domostw. Jednak pośród wiatru i deszczu szedł młody, może niespełna dwudziestoletni chłopak. Jego wątłe ciało odziane było w szerokie spodnie i narzucony na ramiona płaszcz. Spod klatki piersiowej wystawały wydane żebra, jego ramiona przypominały wiotkie gałęzie. Twarz. Choć młodzieńcza, nigdy nie była golona, więc cienkie włosy zarostu odstawały od jego policzków, dopełniając zadziwiającego widoku. Wiatr targał jego jasnymi, niemal białymi włosami. Na jego twarzy zaś, gościł uśmiech. Czuł na twarzy podmuch wiatru. Jego twarz była obmywana przez deszcz. Teraz, w trakcie Pory Zmierzchu, nocy wcale nie zastąpi dzień, a słońce nie pojawi się na nieboskłonie. Półmroku dnia, jakby na granicy zmroku, nie rozjaśni żadne światło. W tej porze roku, wszystko zdaje się być bardziej dzikie, jakby świat, wczoraj zaledwie stworzony, nie wiedział jeszcze, co ma ze sobą zrobić. Zupełnie jak on. Czuł, jakby pierwszy raz doświadczał chłodu i wiatru. Choć szukał w dziecięcych wspomnieniach, nie mógł przywołać tych uczuć sprzed czasu, zanim zasnął. Pamiętał jednak, jakie nosił imię. Dagome.

II

W pogodę taką jak ta, pozostanie w ciepłym wnętrzu i otworzenie wszystkich okien przynosi orzeźwienie. Przy oknie, oparty o parapet, stał Adalbert, leniwie wodząc wzrokiem po mieście. Obserwował port, który tej nocy był cały zablokowany. Nikt w taką pogodę nie chciał wypływać z zatoki, więc maszty stojących na kotwicach statków górowały nad handlowym nabrzeżem, zazwyczaj pełnym życia, a teraz pustym. Nagle dało się słyszeć kroki. Do pokoju wszedł Hugo, niosący grzane wino i smażone ampule, pachnące pysznie.

- To po to poszedłeś – zdziwił się Adalbert – nie mogłeś wezwać służbę?
- Gareniel ma pełne ręce roboty, robią spis magazynów. To nic dużego pójść do kuchni.

Hugo spojrzał wymownie na Adalberta, ten jedynie wzruszył ramionami.

- Na czym stanęliśmy? – zapytał, wskazując na leżące na stole karty do proelium.
- Zasiliłem swoją kawalerię – odpowiedział Hugo, stawiając wino na stole.
- To w takim razie ja użyję *karty specjalnej* – uśmiechnął się Adalbert – posiłki i atak w jednej turze – rzekł tryumfalnie, kładąc kartę specjalną na stół.
- Noż sivize... – zaklął pod nosem Hugo.
- Przekazuje posiłki z *kart zasadzki*, dla moich pikinierów i wreszcie mogę załatwić ci tę kawalerię.
- No dobrze – westchnął Hugo – zastąpię ich topornikami.

Okno, pod wpływem przeciągu z trzaskiem się zamknęło.

- Myślisz że do jutra się rozpogodzi? – zapytał Adalbert – nie po to do ciebie przyjechałem z Estreii, żeby siedzieć cały czas w domu i grać w karty.
- Zobaczymy jutro – odpowiedział Hugo – przeszedłbym się na nabrzeże, jeśli nie będzie padać.
- Chciałeś powiedzieć „na rynek” – skrzywił się Adalbert.
- Rynek jest nudny, wolę targowiska na nabrzeżu, zawsze coś się dzieje. Ja to bym zjadł sobie jutro jakieś marynarskie żarcie. Może łososia mercheńskiego.
- Który na pewno nie jest tylko posolonym mięsem z kargulca.
- Oj tam oj tam, przesadzasz – stwierdził Hugo – Poza tym, nie zwróciłeś uwagi na jedną rzecz
- Jaką? – zdziwił się Adalbert
- Właśnie zasiliłem sobie łuczników. Ostrzelam twoich zbrojnych.

Popijając grzane wino, chłopcy kontynuowali grę. W przytulnej komnacie deszcz i wiatr były jedynie wpadającym przez okna orzeźwieniem.

III

Dagome po raz pierwszy czuł na skórze zimne dreszcze. Do pewnego stopnia był tym uczuciem zafascynowany. Zaciągał płaszcz by chronić wychłodzoną pierś. Zbliżał się już do miasta. Szedł już przez szeroką, brukowaną drogę, przez biedne przedmieścia. Małe chatki i większe domy z drewna budowane były

przy ulicach nieregularnie rozmieszczonych wzdłuż drogi wyjazdowej. Z okien wychylały się twarze dzieci, które nudziły się w domu w deszczowy dzień. Nigdy wcześniej nie widział dzieci. A przynajmniej tego nie pamiętał. Zwrócił wzrok w stronę miasta. Na jego szerokie ulice prowadziły z przedmieścia duże... schody, gdyż miasto stało na wysokim o kilka łokci, stromym nasypie. Nie był pewien czy słyszał o miastach do których wchodzi się po schodach. Tam, u góry już widoczne były liczne kamienice, nierównej wysokości, budowane przy przestronnych ulicach. Lecz gdy się przyjrzał, pojawiło się coś przerażającego w tym krajobrazie. Na tle pogrążonego w brunatnych chmurach nieba, stały potężne, czarne wieże. Rozsiane nierówno po mieście, wznosiły się ponad wszystkie dachy. Wyrastały spomiędzy kamienic i wznosiły się ku niebiosom, gdzie niknęły w śmiertelnej ciemności. Widok tych wież, tych słupów, tych filarów, rzucał na kolana, z samego przerażenia jakie sobą niosły. Nie zdążył jeszcze wejść po schodach na ulicę, gdy dwóch uzbrojonych mężczyzn zbliżyło się do niego.

– Hej ty! – krzyknął jeden z nich, noszący długą, czarną brodę – ktoś ty?

Obaj byli ubrani w czerwone płaszcze, a za swoimi szerokimi, skórzanymi pasami, trzymali różnego rodzaju noże. Gdy brodaty sięgnął do boku, osłonił także krótki miecz. Dagome wydawało się że kiedyś kogoś takiego już widział. Brodaty, nie słysząc odpowiedzi, zapytał jeszcze raz:

– Czego tu szukasz chłopcze? – syknął

– Poszukuję schronienia – powiedział Dagome – nic od rana nie jadłem.

Mężczyźni spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

– Żeś nie stąd skarbie hę? – powiedział brodac

Dagome spojrzął na nich pytająco. Wtem jeden z nich chwycił go za przedramię i szarpnął, mówiąc:

– Patrzaj ty tam – obrócił go w stronę schodów – idźże na dół i we prawo, a potem weź i szukaj wejścia pod ziemię. Tacy jak ty tam mają wejście.

– Nie jest mi dozwolone wejść do miasta? – zapytał Dagome

– Tam na dole tyż masz miasto.

Dagome zszedł ze schodów i poszedł jak go skierowano. Po chwili stanął przed bramą, wspartą na potężnym łuku, który prowadził pod ziemię. Słysząc było stamtąd wielki gwar. Gdy zajrzał do środka, zobaczył tłumy ludzi, przewalających się w ciemności, ledwie rozświetlonej przez mdłe pochodnie. Wszedł do środka, zasłaniając twarz przed wszędzie panującym smrodem. Teraz rozumiał. To jest podziemie miasta. Ściany których dotykał to fundamenty budynków na powierzchni. Szybko odsunął się, bo o ścianę rzucono jakiegoś chłopca, którego biło kilku mężczyzn, krzycząc coś o kradzieży. Dagome odsunął się i powoli zaczął przeciskać między ludźmi. Byli chorzy, kalecy, wygłodzeni i bardzo agresywni. W dzień światło dochodziło z krat ściekowych na ulicach miasta a w noc z zapalonych tu i ówdzie lamp. Nagle usłyszał jak obok niego wrzasnęła w przerażeniu kobieta, którą ktoś szarpał. Nie zdążył zorientować się co się dzieje, gdy ktoś chwycił go za ręce. Chciał się wyrwać, ale został przyciśnięty twarzą do ściany. Ręce napastnika powędrowały do kieszeni Dagome. Ten wyszarpnął się i odrzucił go o ścianę naprzeciwko. Wtem spostrzegł, że był to może szesnastoletni chłopiec, nie mający nawet na sobie strzępu odzienia. Jego kości wyzierały spod skóry, brudnej od błota, jego twarz była zaczerwieniona od sączącej się ze skroni, zaropiałej rany. W migocącym świetle pochodni wyglądał raczej jak zjawą, rzucająca się w konwulsjach, w czerwonej ciemności. W dłoni chłopiec trzymał jedyne co Dagome miał w kieszeni. Mała, nierówna kulka, o szorstkiej, metalicznej powierzchni. Po chwili jednak, z gestem rezygnacji, wypuścił ją. Potoczyła się po ziemi i podniósł ją Dagome. Rozejrzał się. Dookoła mnóstwo chorych, krwawiących, spoconych ciał, szalało w wściekłym tańcu ociemniałego. Może i Dagome był dorosły, a jednak prawdziwie narodził się parę dni temu. Ta emocja, która rozrywała mu teraz pierś, była mu nowa, choć pamiętał ją przez mgłę. Zza zaciśniętych zębów syknął:

– *Vexilla regis prodeunt inferni...*¹

IV

Zamek w drzwiach puścił. Nareszcie. Hugo wyciągnął z dziurki sprzęt do otwierania zamków i gestem zaprosił kolegę do środka. Czuli się ponownie jak dzieci, włamując się do pokoju starszej siostry.

– Gertruda już się stąd niemal wyprowadziła – powiedział Hugo – mieszka z mężem. Szambelanem Winderlandii. Ale jak była młodsza, wolała mieszkać tu, w stolicy niż w domu.

– Właśnie słyszałem – mruknął Adalbert, zapalając świece na żyrandolu – to prawda że robiła tu interesy jak miała szesnaście lat?

– Tak – potwierdził Hugo – A gdy miała dziewiętnaście, wynegocjowała przepisanie całej Thasmy za bezcen. Potem ojciec sprzedał ją Hassenbergowi za pięć razy tyle.

– Jak ona to robi? – westchnął Adalbert – mi matka nie może zaufać z najprostszą dostawą.

1 Łac. *Zbliżają się sztandary króla piekieł* – Dante Alighieri, „Boska Komedia”

Hugo spojrział na przyjaciela. Choć pochodzili z tych samych kręgów, wychowani zostali zupełnie inaczej. W rodzinie Skiewickich było... wiele problemów.

– Wiesz co? – Hugo chwycił przyjaciela za ramię – pokażę ci jak ona to robiła.

Podszedł do dużego mebla zakrytego teraz płótnem. Zamaszystym ruchem je ściągnął. Ich oczom ukazał się wielki, mahoniowy stół, z wyrzeźbioną i pięknie wymalowaną mapą świata. Adalbert dotknął powierzchni stołu. Była nieco miękka.

– To jest zrobione z korka? – zapytał

– Tak – potwierdził Hugo – potrafiła siedzieć całymi dniami, studiując każdy zakątek. Widzisz to?

Wskazał na szpilki białe w poszczególne punkty na mapie, zawierające po kilka niewielkich kartek, z przydatnymi informacjami i spostrzeżeniami. Cały świat usiany był tymi znacznikami. Następnie podszedł do ściany i odsłonił wielką tablicę.

– Czy to jest... – zdumiał się Adalbert – drzewo rodzin Metropolii?

– Są wszystkie rody. Patrz – wskazał – jesteś nawet ty.

– Ile ona nad tym spędziła? – Adalbert studiował kolejne zawarte na tablicy drzewa – jest nawet rodzina cesarska, jednego i drugiego cesarza.

– Spójrz tam – Hugo wskazał na część z dynastią Badynów ze Scydii – tu jest Ezdrasz. Tak znalazła sobie męża. Miała listę najbardziej opłacalnych kandydatów.

– Chyba żartujesz...

– Ale serio, jak oni tak do siebie pasują... – Hugo westchnął z podziwu – potrafią siedzieć w nieskończoność i delektować się każdą polityczną intrygą.

Adalbert był pod wrażeniem. Mapy, drzewa, polityczne intrygi. Matka pewnie właśnie tego od niego oczekiwała. A może choćby faktycznego dopilnowania czegoś prostego, od początku do końca. Hugo znał ten wzrok. Wiedział, co trapi przyjaciela. Jednak nie potrafił mu pomóc.

Nagle usłyszeli odgłos kroków w korytarzu. Do pokoju zajrzał Garaniel. Był wyraźnie zaniepokojony.

– Hugo! – zawołał zdyszany – szukałem was wszędzie

– Co się stało?

– To sprawa do panicza Adalberta – powiedział – jeden z naszych posłańców dostał depezę do rodziny Skiewickich, ale wiedział że panicz Adalbert tu jest więc skierował się do nas. Podobno to bardzo ważne.

Podał Adalbertowi niewielki, zapieczętowany list. Wiadomość nie była długa, ale Adalbert się zaniepokoił.

– To faktycznie może być dość ważne – powiedział – a nawet niebezpieczne.

– O co chodzi? – zapytał Hugo.

– Kapitan jednego z naszych statków ma niebezpieczny ładunek – wyjaśnił – ktoś opłacił jego transport, ale adres pod który został skierowany nie istnieje. Odkąd skrzynia trafiła na pokład, są nieustannie atakowani – Adalbert uniósł brwi zdziwiony – Widocznie ktoś bardzo chciał się pozbyć czegoś niewygodnego – wywnioskował

– I wszyscy chcą to dostać – dorzucił Hugo.

– Niech mi to dostarczą – zdecydował Adalbert – tutaj będzie bezpieczne i zorientujemy się z czym mamy do czynienia.

V

Gdy Dagome poczuł podmuch wiatru, odetchnął, wiedząc że zbliża się brama na zewnątrz. Ledwo przeszedł przez to piekło, kilkakrotnie próbowali go okraść, pobić, był świadkiem gwałtów i bijatyk, z których niektóre pewnie kończyły się śmiercią. W tym miejscu najwyraźniej nikt się tym nie przejmuje. Brama którą wyszedł znajdowała się od strony nabrzeża. Miał dość ciepłego, gęstego powietrza podziemi, wziął głęboki oddech, delektując się chłodnym, lekkim wiatrem przemijającej już burzy. Mżawka powoli ustawała. Dagome spojrział na swojego towarzysza. Ciągnął tu za sobą chłopca, który próbował go okraść. Ten, oczekując najgorszego, zasłaniał się swoimi wychudzionymi rękoma. Dopiero teraz Dagome zauważył, że jego palce są nienaturalnie wykrzywione. Pochylił się nad nim.

– Co ci się stało? – zapytał.

– Wczoraj – powiedział cicho chłopak – gdy kradłem no wodę od bossów.

– Kto to?

– Bossowie no mają wodę – wybełkotał – trzeba płacić. Ja nie miałem no wody.

Dagome westchnął. Chwycił jego połamaną dłoń. Nie był pewien skąd, ale miał wrażenie, że wie co robić. Zaciśnął palce i zaczął je po kolei nastawiać. Cichy jęk chłopca, a następnie westchnienie ulgi upewniło go, że się udało.

- Jak się nazywasz? – pytał Dagome dalej.

W oczach dzieciaka najpierw, pojawiło się zdumienie, potem dało się zobaczyć łzy.

- Mówią na mnie No – powiedział niepewnie.
- Dlaczego musicie płacić bossom za wodę – zapytał Dagome – jeżeli macie dzisiaj tyle deszczu?

No wskazał palcem w górę i rzekł:

- Nie pij wody z nieba – powiedział – no ona zła.

Dagome zmarszczył brwi. Spojrzał w górę. Dopiero teraz zrozumiał. Jego oczom ukazał się widok bloków, kamienic oraz lasu kominów, z których wydostawał się brunatny dym. Ponad kominami, na tle zachmurzonego, niemal czerwonego nieba, górowały wielkie jak góry, olbrzymie, czarne wieże. Teraz, gdy był u ich stóp, mógł w końcu poczuć ich monstrualność. Na samej górze, niczym korony, jaśniały potężne ognie, czyniąc miasto pod nimi, jakby domkiem piasku.

- Co to za miejsce? – wyszeptał Dagome

Zdziwiony No, zmarszczył brwi. Czy ten przybysz nie wiedział gdzie trafił?

- Jesteś w Zantari, mój panie. Stolicy no całej Metropolii.
- A te wieże – rzekł Dagome – które górują nad miastem?
- To są no empary, mój panie – wytłumaczył No – tam no Magnaty, najbogatsi w kraju, no w świecie.

Dagome zachwiał się. Musiał usiąść. Dłonie mu drżały. Czy miejsce, od którego chronił go ojciec, było samym piekłem? Czyżby jego zaśnięcie było błogosławieństwem?

- My nie możemy wejść do no miasta – powiedział No – bo jesteśmy no Nędzarzami. Nie mamy i ubrań. Bossowie wzięli. Do miasta może wejść no biedota, bo oni mają ubrania, ale tylko gdy z panami, gdy pracują. Ja bez pana, no biedota też nie może. No nabrzeże może wszyscy.

Dagome ukrył twarz w dłoniach. Jego usta wyszeptały:

- *Fychuaifaudzawa chye baa chiy fye chye chie. Zaa zei, fyre lo fybuaityoolawa woto fye zobufoolawa.*²

Choć nie miał pojęcia kto to powiedział, był to jedyny sposób w jaki mógł odnieść się do tego, co miał przed oczyma. Wtem spojrzał na niebo. Nieco się rozjaśniało. Oto był świt, jaki można zobaczyć tylko w Porze Zmierzchu. Jest to świt, bez wschodu słońca.

Odszedł bez słowa, kierując się w stronę otwierających się właśnie straganów. Wyjął z kieszeni swoją kulę, którą chciał mu ukraść No. Przekreślił ją w dłoni, w ten sposób otwierając sekretną zawartość. W środku błyszczał fioletowym światłem, niewielki kryształ. Spadek, który otrzymał od ojca, był cenniejszy niż cokolwiek innego w tym mieście.

VI

Każdy statek opuszczający port miał na pokładzie oświetlenie. Widoczny jeszcze księżyc i świecący nieopodal niego Otnat zachodziły powoli, rzucając białawy i fioletowy blask na wodę. I żółte, liche światelka, opuszczające port, na ich tle wyglądały przepięknie. Szczególnie stąd. Z wysokości ponad dwustu pięćdziesięciu łokci, ze szczytu najwyższej w mieście empary. Rozciągał się stąd widok na miasto i całą zatokę. Szczyt budynku był otoczony był kręgiem jedenastu potężnych filarów, noszących pokrytą złotem, kamienną obręcz, niby koronę, postawioną na jej głowie. Między każdym z filarów płonęło potężne ognisko, czyniąc środek tego szczytu ciepłym. Adalbert rozkoszował się widokiem statków opuszczających zatokę. Zawsze marzył by odwiedzić Hugo w najbardziej tryumfalnym miejscu jego domu. Empary w Estretii są nieco inne, otoczone są przez fabryki i stocznie, skąd jego matka, madamme Skiewicka, może doglądać centralnego punktu swojego finansowego imperium. Tutaj empary służą oddzieleniu się od miejskiego brudu. Tutaj, pod niebem, Nędzarze i krętacze nie mają wstępu, choćby bardzo próbowali.

- A, tutaj jesteś – usłyszał głos wchodzącego na szczyt Hugo – myślałem że się zgubiłeś w domu.
- Nie chciałem przegapić widowiska – rzekł Adalbert wskazując na statki opuszczające port.
- Jest twoja przesyłka – rzucił Hugo – zaraz ją tu przyniosą. Podobno ktoś ich śledził przez cały czas.

P chwili Garaniel przyniósł niewielką skrzynkę, o którą chciano już kilkukrotnie zabić. Ostrożnie otworzyli wieko, i nagle wszystko stało się jasne. Po plecach przeszedł im zimny dreszcz. Nie wierzyli własnym oczom. Rzeczywiście. To było bardzo niebezpieczne.

- Ta inskrypcja – pokazał Adalbert – to pismo chnarmaskie.
- I co jest napisane – zapytał Hugo – ty znasz chnarmaski prawda?
- Chnarmaski znam – usłyszał odpowiedź – i to nie jest po chnarmasku. Jest tylko zapisane ich systemem pisma. Mogę ci to przeczytać, ale nic nie zrozumieć.
- To jest – Hugo nie mógł się oprzeć, by tego nie dotknąć – niesamowite...

² Z chnarmaskiego. Tłum.: *Pochwycili godność człowieka, czyniąc z niej godność truchła. Nawet nie psa, bo pies może ugryźć, jeżeli go uderzysz* ~ Arcyksiężna Loa Madana, poemat „O miastach ze złota”

- Wydaje mi się – zastanawiał się Adalbert – że to może być starożytny język. Kształty znaków są bardzo prymitywne. Będzie potrzebny ktoś, kto się na tym zna.

Zamknął pokrywę. Odszedł i stanął przy jednym z filarów, spoglądając na pejzaż miasta.

- Jutro każę to wysłać matce do Estreii – westchnął – niech ona zdecyduje.

Hugo podszedł do przyjaciela, przez chwilę obaj milczeli. Hugo odezwał się:

- Albo możesz sam się tym zająć.
- Dlaczego? – rzucił ponuro Adalbert
- Wyobraź sobie taki obrót spraw – powiedział Hugo – wysyłasz matce informację, że napotkałeś problem z niebezpiecznym, ale bardzo cennym artefaktem. Następnie zgłębiłeś czym jest i dlaczego wszyscy go chcą. Następnie wyprowadziłeś przeciwnika w pole i wysłałeś to do Estreii.
- A jeśli się nie uda? – zawałał się Adalbert
- Czy twoja matka zbudowałaby swoje imperium gdyby nie robiła nic ze strachu przed porażką?

VII

Musieli odespać bezsenną noc, więc było już prawie południe gdy wyszli na nabrzeże. Hugo nie lubił chodzić z obstawą, ale Gareniel nalegał by wzięli choć jednego rapugeza. Zgodził się, bo wybrali ochroniarza Adalberta, Viento, który zawsze miał w zanadrzu jakieś anegdotki ze swoich podróży. Przyświecał im jeden cel: znaleźć kogoś, kto orientował się w językach starożytnych. Oczywiście zabranie tego do tłumacza nie byłoby opcją. Tłumacze w Zantari uprawiają namiętnie handel informacjami i na nic zdaje się ich słowo honoru gdy usłyszą brzęk monet. Oni potrzebowali kogoś, kto sam musiał się ukrywać. Kogoś, dla kogo dyskrekcja jest sprawą życia i śmierci.

- Potrzebujemy Dziedzica – powiedział Hugo

Viento rozejrzał się dookoła, w popołochu.

- Paniczu Hugo – powiedział cicho – niech panicz nie mówi takich rzeczy głośno.
- Wiesz co o nich opowiadają – odpowiedział Hugo
- Wiem – westchnął Adalbert – ale ciekaw jestem ile z tych legend jest prawdą.
- Jeśli jest jedno miejsce, w którym możemy zapytać, to oberża *Beltina*. Znają mnie tam. Nie jest to najbardziej poważany lokal, ale możesz się tam wiele dowiedzieć.

Miasto w czasie Pory Zmierzchu było niebezpieczne. W momentach takich jak ten, cieszyli się z lekcji walki, jakie odbierali kiedyś wspólnie od różnych najemników, zatrudnianych przez ich rodziców. A jednak, Viento przewyższał ich w doświadczeniu – a tego nie można się po prostu nauczyć. Choć ubrany był, jak każdy rapugez, w długi, skórzany, czerwony płaszcz, na swojej piersi miał szarfę z emblematem rodu Skiewicki. Opowiadał właśnie jedną ze swoich historii:

- W ogóle wiecie wy kto rządzi tak na serio w Wolszo? – zapytał chłopców.
- Pewnie nie Cesarz – zaśmiał się Hugo.
- Sekretariu...szki? – rzekł Viento niepewnie.
- Sekretarki – poprawił go Adalbert
- O, o, one właśnie – ucieszył się rapugez – bo oni to tak z prawami, wiecie, chłopaki nie do końca, to co się nie mieści w kodeksie, to to dają w łapę jeden drugiemu, a sekretarka ma tak umowę potem napisać, żeby było wszystko cacy. Nooo to sekretar... – zawałał się – ...ki robią skubane tak, że piszą że według kodeksu tam tego i tego, taka a nie inna umowa jest zawierana. Tylko że takiego kodeksu w ogóle nie ma i nikt o nim nigdy nie słyszał. Ale jak jedna się na to powoła, po powie drugiej – nagle podwyższył głos – „no weź *Grażynka* napisz ten sam kodeks, zmyśl se przepis i będzie w *porzqsiu*”. No to jak już się tak powołują, to wszystkie zaczynają i w końcu wszyscy wiedzą że jest kodeks, tylko nikt go nie może znaleźć, bo go nigdy no nie było.
- Wolszoia to nie imperium – zaśmiał się Hugo – to stan umysłu.

Wkrótce znaleźli się przed *Beltiną*. W środku unosiły się zapachy różnorodnych przypraw. I oczywiście, daniem specjalnym starej Natalii, głównej kucharki, był oryginalny radżabowiec z wędzonych wyrkoni. Oczywiście dla zgromadzonych, bli widowiskiem. Ściągnęli swoje płaszcze i dopiero teraz można było zauważyć, że nie należą do zwyczajnych kupców. Ubrani w wyglądające na nowe, purpurowe koszule, mieli na sobie kamizelki, Adalbert białą, Hugo czarną, na których pełno było drobnej biżuterii metropolitańskiego gentlemana. Przez piersi mieli przerzucone szarfy, z haftowanymi emblematami. Hugo, miał czarnego konia na czerwonym tle, a Adalbert złotego orla na czarnym tle. Hugo nie przejmował się, że tak odstawali od towarzystwa.

- Sofia! – przywitał się z potężną, tłustą oberżystką – co u ciebie kochanie?
- Oho, oto panicz nas odwiedził – odpowiedziała mu, czyszcząc kufel do piwa – coś się mało rozbija po knajpach ostatnio.

- No wiesz, kiedyś trzeba dorosnąć – zaśmiał się Hugo
- Dorosnąć, dorosnąć – przedrzeźniała go – ty masz chłopcze dziewiczy ten wąsik wiesz?
- A co jeśli już nie dziewiczy? – drażnił ją Hugo
- To ci w dupę wleje – zaśmiała się, po czym odstawiła naczynia i zapytała – jaką masz sprawę?

Hugo nachylił się do Sofii i zapytał:

- Potrzebuję kogoś kto przetłumaczy mi starżytną inskrypcję w zapisie chnarmaskim. Najlepiej wiesz, przydałoby się żeby był – tutaj szepnęła – Dziedzicem.

Sofia zdziwiła się, ale po chwili powiedziała:

- Jest tutaj taki jeden chłopaczek, który dziś natrafił na kłótnie Shwanayanina i Chnarmasanina, co nie mieli żadnego wspólnego języka, bo ten znał prócz swojego vesmacki a tamtem unirycki. No i nie mogli się dogadać. No i ten młody podchodzi do nich i ponoć pięknie płynnym chnarmaskim i schwanayańskim tłumaczy im co mówią. Aż mu rzucili grosza za usługę. Jest jakiś dziwny, mówi jakoś tak, jakby z królewskiego dworu się urwał. Siedzi tam teraz i je zupe.
- To tamten? – Hugo wskazał na chudego blondyna w kącie sali.
- Tak.

Po chwili wszyscy trzej przysiedli się do niego. Był młody, mniej więcej w ich wieku, nosił długie, niemal białe włosy, a na nagi tors miał zarzucony jedynie drogi, skórzany płaszcz. Adalbert aż skrzywił się na ten pokraczny widok.

- Witaj – Hugo wyciągnął dłoń – możemy z tobą porozmawiać?
- Witajcie – usłyszał odpowiedź – nazywam się Dagome.
- Ja jestem Hugo, to moi przyjaciele, Adalbert i Viento – przedstawił się

Wzrok Dagome był utkwiony w Adalbercie. Znów miał to dziwne uczucie. Wydawało mu się że wiedział jak rozmawiają ludzie, ale dzisiejszy dzień udowodnił mu, jak bardzo jego słowa i czyny odstawały od zachowania innych. Adalbert zmarszczył brwi.

- Wszystko w porządku? – zapytał niepewnie nieznajomego.
- Imię Adalbert mi coś przypomniało – zastanawiał się Dagome.
- Co takiego? – zapytał Hugo.
- Pamiętam taki wiersz – powiedział Dagome – który zaczynał się od słów:
*„Choć pisano o tych czasach wiele więcej
Posłuchajcie piosnki o rycerzu Adalbercie”*
- „Żołnierz króla-buntownika” – powiedział nagle Adalbert – nazwano mnie po głównym bohaterze.
- Hmm – zastanowił się Hugo – to coś co powinienem znać?
- Poemat Juliana Camex – wyjaśnił Adalbert – o dojściu do władzy Aleksandra Siódmego w Sinarsalii. Skąd możesz go znasz Dagome, to dość... niszowa satyra polityczna.
- Aleksander Siódmy... – wyszeptał Dagome:
*„Na dworze w Cesarii uwielbiają Badynów.
Mają ich czterech, a piąty już się poczyła.
Lecz Republika aż sześciu ma Premierów,
Jakże premierem niebadyński człowieczyna?
Jak Patriarem był stary dziad Hieronim,
Presinem Bartosz, co dziedziczy po nim.
Skarb syn jego, Łukasz w rękach ścisnął
Aleksandrowi, przypadła wojskowa miska”*

Adalbert ze zdumieniem spojrzał na Hugo.

- Ty naprawdę to znasz – powiedział – i to na pamięć! Skąd?
- Nie jestem pewien... – mruknął pod nosem Dagome.

Czy miał powiedzieć „nauczyłem się jako dziecko”? Nawet nie wiedział z jakiej jest rodziny. A nazwisko jego ojca było zbyt niebezpieczne, by je wymawiać. Zaledwie jego wspomnienie mogło go narazić na śmierć. Mocniej ścisnął swoją beczenną kulę w kieszeni.

- Znasz starą literaturę scydyjską – powiedział Hugo – i dowiedzieliśmy się że posługujesz się płynnie między innymi chnarmaskim. Mógłbyś spróbować przetłumaczyć kawałek inskrypcji?

Podczas gdy rozmawiali, Viento kątem oka obserwował jak zakapturzona postać wciąż siedziała w ciemnym ganku domu naprzeciwko. Nieuważnemu oku może zdawać się że spał, z głową pochyloną na pierś, ale Viento zbyt często bywał w ten samej roli, by nie poznać szpiega.

VIII

Wkrótce już byli w domu. Otworzyli skrzynię. Dagome ujrzał zawartość i nie był pod wrażeniem.

- Potrafisz to przeczytać? – zapytał Adalbert – wskazując chnarmaską inskrypcję.
- Nie potrafię czytać w ogóle – stwierdził Dagome.

Zamarli. Ta informacja była ostatnim czego się spodziewali.

- To jak nauczyłeś się...
- Ze słuchu – odpowiedział, jakby nigdy nic – jeżeli ktoś przeczyta zapis chnarmaski, mogę dokonać tłumaczenia.

Hugo i Adalbert wymienili zdziwione spojrzenia. Adalbert westchnął z rezygnacją i zaczął czytać:

- Zochuaimaalawa me. Fyia me roo neo...
- *Fye woto chia fy...* – przerwał mu Dagome

Spojrzeni na siebie zszokowani.

- Znasz to? – zapytał Hugo
- Samego tekstu pewnie nie, ale ten początek to standardowa formuła – powiedział – dalej, *zoa zi, ga*.
- Tak – zdziwił się Adalbert – tak brzmi pierwsza... a nie, czekaj, końcówka się nie zgadza. Jest *...belatareleda, ga*.

Dagome odwrócił się. W jego oczach było przerażenie. Jego usta wyszeptały „*Beltrelda*”.

- Dagome, czego to jest formuła? – zapytał Hugo.
- Wyroczni. Tłumaczenie brzmi: *Słuchajcie słów wyroczni. Jej słowa zasadźcie w sercu. Każdy kto się zmagą, niechaj do Beltreldy przybędzie*. Tak zaczynają się wyrocznie spisywane w Rigganie. A teraz możemy kontynuować.

Wkrótce Adalbert miał pełne tłumaczenie. I, choć zaczęli zadowoleni, teraz nikomu nie było do śmiechu.

Niezręczne milczenie przerwał Adalbert:

- Musimy to koniecznie przekazać mojej matce – westchnął – nie dziwię się że wszyscy na to polują.
- Nie wyjdziemy z empary – przypomniał Hugo – nie będąc niezauważonymi.
- I nie wyniesiemy nic, żeby nie być zaatakowani – wtrącił Viento.

Po chwili zastanowienia, Adalbert się uśmiechnął.

- Może więc, dajmy się zauważyć!

IX

Nikt nie miał wątpliwości że ten plan się nie uda. A jednak, zdawało się że nie ma lepszej opcji. Zamiast chronić skrzynię przed kradzieżą, najlepszym sposobem, było ją samemu ukraść.

- Co takiego się stało? – zapytał Adalbert – zostałeś napadnięty czy coś?
- Dlaczego tak uważasz? – zdziwił się Dagome.
- Nie wiem, gdy przyszedłeś, wyglądałeś jak Nędzarz, a mówisz jakbyś się urwał z rodziny cesarskiej.

Dagome zmarszczył brwi w gniewie.

- Cóż dokładnie czyni Nędzarza gorszym od Magnata – zapytał.
- Nigdy wcześniej nie byłeś w Metropolii prawda? – zapytał Adalbert – no to mam dobre wieści, bo to miejsce w którym każdy może stać się bogaty, niezależnie skąd pochodzi. Wszyscy są tu równi.

Dagome był wzburzony. Czy ci chłopcy, dzieci bogaczy, żyjący w tych całych emparach, nie dostrzegają z góry co się dzieje w tym miejscu? Czy są tak zaślepieni własnym bogactwem by nie widzieć cierpienia?

- A co z tymi ludźmi pod miastem? – wycedził, starając się powstrzymać emocje.
- Ahh, Nędzarze – westchnął Adalbert – oczywiście, mają prawo zapracować sobie na godziwe życie.
- Oni tam umierają – powiedział Dagome.
- To nie jest ważne – stwierdził Adalbert – widzisz, oni są częścią naszego systemu. Społeczeństwo Metropolii dzieli się na cztery klasy. Najwyżej stoją Magnaci, którzy żyją w emparach i rządzą miastem. Niżej są kupcy i rzemieślnicy różnej zamożności, którzy żyją w mieście, gdzie panuje prawo i porządek. Pod nimi jest biedota, która żyje w Podziemiach, ale jeśli są odziani i pracują dla kogoś, mogą wejść do miasta, byleby ręczył za nich pracodawca. Najniżej są Nędzarze, którzy nie mają odzienia i pracy, więc muszą pozostać w Podziemiach. Jedynie tutaj, całe nabrzeże miejskie jest dozwolone wszystkim.
- W Podziemiach są dzieci – syknął Dagome – i kobiety które przeżywają horror. Tam...
- Byłeś tam... – przerwał mu Adalbert – dziś w nocy, prawda? To tam cię okradli?
- Nie – niemal krzyknął Dagome – dlaczego wszyscy tutaj myślą tylko o pieniądzach. Wiesz co mi się dziś przydarzyło? Chciałem pomóc ludziom w ich kłótni, ale nie przeszło im przez głowę, że ktoś może chcieć pomóc bezinteresownie. Zapłacili mi. Nie mogli inaczej.

Westchnął ciężko. Jak bardzo oderwani są od rzeczywistości? Czyżby ich uprzejmość była niczym więcej jak ignorancją?. Wtem Dagome poczuł na twarzy ukłucie chodu. Zaczął padać delikatny śnieg.

Adalbert spostrzegł nadjeżdżający wózek, którym przewożono skrzynię. Przy nim, niewzbudzający podejrzeń, szli dwaj „kupcy”, będący jednak przebranymi rapugieżami. To był moment w którym trzeba było działać. Adalbert wyszedł pierwszy. Zanim „kupcy” zdążyli się obronić, uderzył jednego w brzuch. Drugiego chwycił za rękę którą ten sięgnął po przypasany miecz. Dagome zabrał skrzynię. Po chwili obaj uciekali z pakunkiem przez wąskie zatłoczonego nieczynnego targu. Za sobą widzieli przynajmniej dwie dwuosobowe grupki napastników. Wpadli między stragany z owocami, wybiegli na wewnętrzną uliczkę między sklepy. Adalbert zatrzymał na moment Dagome. Zobaczyli jak ktoś przebiegł przez tłum tuż obok nich, na północ. Obrócił się i nagle zobaczył jak jakaś postać biegnie do nich między straganami. Wybiegli najbliższym lokalem. Wpadli na uliczkę i rzucili się w bieg między straganami. Pojawiło się dwóch nowych napastników. A może byli razem? Nieważne. Rzucili się w bieg. Wbiegli między stragany owocowe i skryli się pod osłoną jakiejś sklepowej budki. Adalbert przystanął.

- Dobrze – wysapał – tyle powinno wystarczyć. Teraz musimy ich zgubić.
- Znam miejsce – powiedział Dagome, po czym zerwał się do biegu.

Wybiegli z targu, chwilę po tym zobaczyli że ściga ich co najmniej siedem osób. Dagome kierował się do miejsca które dobrze poznał. Do bramy Podziemia.

Adalbert zawahał się, ale właściwie nie miał teraz lepszego wyboru. Weszli do środka. Dagome poprowadził ich między siedzącymi przy wejściu dziećmi i weszli głębiej do środka. Adalbert wpadł na pomysł. Chwycił niewielką kiesę którą miał i z rozmachem, sygnął w wejście pełną garść drobnaków. Dzieci momentalnie rzuciły się dziko na pieniądze, blokując przejście. Zatrzymali się. Dagome powiedział:

- Dobrze, teraz zdejmij koszulę

Adalbert spojrzał na niego pytająco.

- Wtopimy się w tłum – usłyszał odpowiedź.

Po niedługiej chwili, przekradali się lekko pochyleni, między kotłującymi się tłumami.

- Nie odwracaj się i pochyl nieco – powiedział Adalbert – jesteśmy tylko nędzarami w tym ścieku.

Przeciskając się między nimi, nieustannie odpychając pijanych i odurzonych, Adalbert starał się odwracać wzrok od coraz bardziej przerażających widoków. Tutaj, u podstaw miasta, opierając się o fundamenty budynków, leżały zagłodzone dzieci i zhańbione kobiety. Adalbert zasłonił usta, nie chcąc oddychać odorem, który się tam unosił. Nagle ktoś uderzył Adalberta w głowę. Cios był słaby, więc ten odepchnął tylko napastnika i uderzył go trzymaną wciąż skrzynią. Dagome pociągnął Adalberta w uliczkę, w której było mniej ludzi. Zgubili pościg i mogli na moment odetchnąć. Usiedli pod ścianą i próbowali złapać oddech.

- Widzisz to? – zapytał zdenerwowany Dagome – widzisz tych ludzi? Kto ma im pomóc?

Adalbert rozejrzał się. Niedaleko leżało dziecko, wątłym wzrokiem wodzące za przechodzącymi, czekające jedynie na śmierć.

- Nie rozumiesz – zdenerwował się – nikt nie powinien im pomagać. Oni sami muszą sobie pomóc.
- Czy siedząc w swojej wieży straciłeś już współczucie? – warknął Dagome – nie masz pojęcia...
- Nie Dagome! – krzyknął Adalbert – to ty nie masz o niczym pojęcia! Moja matka była jedną z nich!

Adalbert westchnął ciężko. Dagome zamarł.

- Moja matka mieszkała w podziemiach Estreii, była taka, jak ona – wskazał na czołgającą się kobietę, która niedaleko od nich, próbowała uciec grupie mężczyzn – ale wzięła się w garść, zaczęła pracować i zapracowała sobie sama, na imperium które dziś ma!
- Ale... – zaczął niepewnie Dagome – gdyby ktoś jej pomógł...
- Gdyby ktoś jej wcześniej pomógł – przerwał mu Adalbert – sama nigdy nie chciałaby zmienić swojego życia. Bo ktoś, zrobiłby to za nią.

Dagome nie wiedział co odpowiedzieć. Odkąd się przebudził, widział wiele zła. Ale wciąż niewiele wie, o tym co się dzieje na tym świecie. W oczach Adalberta zobaczył łzy. Ten chłopak właśnie odrzucił tyle rąk, wyciągniętych po pomoc. Jednak daleko mu było do obojętności.

- Musimy iść – powiedział, ocierając oczy – i to najbliższym wyjściem. Hugo jest już pewnie na statku. Musimy do niego dołączyć.

Wstał i pewnym krokiem skierował się ku wyjściu, gdy nagle przeszło go to dziwne odczucie, człowieka który wie, że jest obserwowany. Odruchowo sprawdził tylko miecz trzyma się solidnie na jego pasie i wyszedł z Podziemia. Wyszli bramą od strony południowej, nazywanej Ypud. Okolica była pusta, a pochodnie rozświetlały półmrok dnia. Nasilający się śnieg powoli okrywał ziemię swoim puchem. Skierowali się na wschód; musieli dostać się do brzegu, gdzie czeka na nich Viento. Nagle Adalbert zamarł. Ponad nimi, tuż nad bramą, na ulicy miasta ktoś stał. Cień który rzucał, był nieludzki niemal rozmiarów. Adalbert obrócił się, bo ujrzał, kim jest ta zjawia. On nadal stał niewzruszony. Okrywała go czarna jak noc peleryna, na piersi błyszczał złoty pancerz a w żelaznej rękawicy trzymał długi, odbijający rozpalone płomienie pochodni, miecz. Jednak najbardziej przerażające w tej straszliwej postaci, była złota maska

okrywająca w całości jego twarz. Nie wyrażająca emocji, pusta, anonimowa, odarta z najmniejszego znamienia człowieczeństwa, o oczach ukrytymi w cieniu, jakby i sama ciemność, obleczona w szaty człowieka, zstąpiła na świat, by go pochłoniąć.

– Aurum Fratrum... – szepnął Adalbert

Zjawia lekko pochyliła się do przodu i niczym młot, spadła na ziemię, oddzielając chłopców od bramy do Podziemi. Adalbert błyskawicznym ruchem wyciągnął miecz, ale momentalnie postać znalazła się tuż przy nim. Ostrza się skrzyżowały. Cios który zadała, zachwiał Adalbertem. Następny cios był poprzeczny, co Adalbert musiał skontrolować prostopadłą blokadą. Wtem rozległ się dźwięk ocierającego się żelaza a jelec tego prostego, ale potężnego, dwuręcznego miecza uderzył silnie w klingę Adalberta. Tego się nie spodziewał. Przez ułamek sekundy Adalbert nie osłaniał gardy. Wówczas cień złapał jego nadgarstek i zamknął w potężnym uścisku metalowej rękawicy. Zamachnął się mieczem, mając wyeksponowaną szyję Adalberta, gdy nagle uczynił krok w bok, osłaniając się przed uderzeniem. Dagome spróbował roztrzaskać skrzynię na przeciwniku. Szybkim ruchem cień szarpnął skrzynią i rzucił ją na ziemię. Nagle zmiażdżył ją nogą. Była pusta. Przez krótki moment trwali w bezruchu, jedynie płatki śniegu tańczyły w powietrzu między nimi. Wciąż wykręcając Adalbertowi dłoń, spojrzał na Dagome i odezwał się:

– Gdzie zawartość? – zagrmiał zza maski głos, zdumiewająco ludzki.

– Zdaje się, że cię przechytrzone – syknął z satysfakcją Adalbert.

Błyskawicznym ruchem wróg zadał Adalbertowi straszliwe uderzenie w pierś głowicą miecza. Chłopak osunął się na ziemię. Przeciwnik odrzucił jego miecz. Przyjrzał mu się.

– Ty nie jesteś tym rapugezem – powiedział.

– Tak – wymamrotał Adalbert z trudem łapiąc oddech – nazywam się Adalbert Herrman Skiewicki z Estretii. Tknij mnie, a Złoty Lord będzie miał za wroga całą Metropolię.

Po chwili cień rzekł:

– Zachowasz dziś swoją głowę – po czym skierował się do Dagome – ale ty, jestem tym który odczytał inskrypcję prawda?

Jakim cudem mógł o tym wiedzieć? Zbliżył się do Dagome i chwycił go za szyję, po czym podniósł na wysokość stopy, jakby ten był lekki jak piórko. Dagome trzymał się rozpaczliwie zaciśniętej pięści przeciwnika.

– Ty pójdziesz ze mną chłopcze – zagrmiał głos – na razie jesteś wszystkim czego mi potrzeba.

Adalbert leżał, trzymając się za pierś, nie mogąc wstać, ani krzyczeć, gdy cień zniknął wraz z Dagome w ciemności. Odczuł ulgę. Ale wraz z tą ulgą, niepokój. O... tego... Nędzarza? Bezdomnego. nieznanego głupca. Człowieka, któremu był gotów zawierzyć życie. Spoglądał na śnieg, w której wciąż odcisnięte były stopy Dagome, gdy rycerz Aurum Fratrum go pochwylił. Tuż obok leżała niewielka, nieregularna kulka, ta sama która upadła Dagome wcześniej. Co jest w niej dla niego tak ważne? Gdy się jej przyjrzał, zauważył niewielką linię, rozdzielającą ją na pół. Przekręcił połówki w przeciwne strony i kulka się otworzyła. Ze środka dobiegło fioletowe światło. Jego oczom ukazał się fosforyzujący kryształ czystego otnatu. W jego głowie nagle pojawił się szalony pomysł.

X

Dagome nie wiedział gdzie jest, ale widział przez lekko prześwitującą chustkę zasłaniającą mu oczy, że są w jakimś pokoju. Panował w nim półmrok, jedynie świeca dawała nieco mdłego, żółtego blasku. Leżał skuty na ziemi, gdy tajemniczy przeciwnik zbierał ze stołu jakieś papiery. Zdaje się też że kompletował wyposażenie, bo dało się słyszeć zapinanie elementów zbroi i wkładanie butów z ostrogami. Nieustannie wyglądał za okno, lustrując ulicę, podejrzany że ktoś go śledził. Nikt nie przychodził na ratunek. Oczywiście że nie. Tajemnicza skrzynia jest bezpieczna z Hugo, w drodze do Estretii. Adalbert płynie wraz z Viento na jego spotkanie. Dla ludzi Metropolii życie ludzkie nie ma wartości większej, niż życie psa. Teraz był sam, z postacią, której sama obecność sprawiała że kurczy się, niczym mucha złapana w sieć, gdy zbliża się pająk. Jego oprawca pakował właśnie ostatnie elementy wyposażenia, gdy nagle zatrzymał się. Słyszał było stąpanie po schodach. Ktoś wchodził do pokoju. Rycerz Aurum Fratrum momentalnie chwycił za rękojeść przypasanego miecza. Ku wielkiemu zaskoczeniu, Dagome usłyszał dochodzący z dołu głos Adalberta:

– Odpuść sobie – mówił pewnym głosem – nie myślisz chyba że chcę rewanzu.

Nie trzymał odpowiedzi.

– Przychodzę – kontynuował Adalbert – z interesem.

– Doprawdy? – w głosie dochodzącym zza maski, po raz pierwszy usłyszeli emocję. Ironię – masz mi przecież tak wiele do zaoferowania...

– Nieprawdaż? – zaśmiał się Adalbert.

Wyciągnął z kieszeni niewielką kulkę. Przekręcił jej połówki i otworzył. Rozbłysnęła fioletowa poświata.

- To fałszywka – usłyszał.
- A jakie inne źródło fioletowego światła może być tak silne, jak czystego, nierafinowanego otnatu?

Dagome podniósł się z ziemi, choć nadal był skuty i miał zasłonięte oczy.

- Mówi prawdę – rzekł – ten otnat należał do mnie.

Po chwili milczenia postać odpowiedziała:

- Dlaczego miałbyś oferować mi otnat za... niego?
- Bo to... – Adalbert zawahał się – mój przyjaciel.
- Dlaczego nie miałbym zabrać i jego, ciebie pozostawiając tutaj?
- Bo nawet ty jesteś jedynie człowiekiem – powiedział – i nie pokonasz armii.

Choć zza maski nie było widać oczu postaci, Adalbert wiedział, że ma w głowie mętlik. Postanowił rozjaśnić przeciwnikowi sytuację. Zagwizdał, a w oknach, od zewnątrz budynku pojawili się rapugezi. Wbiegli po schodach i zajrzeli przez świetlik w dachu.

- Szli po dachach – powiedział Adalbert – a ty byłeś zbyt zdekoncentrowany otnatem, by usłyszeć, że wchodzi na ten dach.

Zagwizdał ponownie. Huk dwudziestu paru tupnięć i uderzeń rozległ się na dachu i przy oknach. Był w potrzasku.

- Nie dam ci dzisiaj odejść z każdą z nagród – rzekł głosem, który przeszywa – pozbawię cię przynajmniej Dziedzica!

Błyskawicznym ruchem wyciągnął miecz i zadał potężne cięcie. Adalbert skoczył, by odepchnąć nic nie widzącego Dagome. Nagle jego dłoń przeszył straszliwy ból. Mimo to, błyskawicznie zdał sobie sprawę jak blisko wroga się znalazł. Zamachnął się kulą a otnatem i wpakował ją w otwór na oko. Kryształ wpadł do środka. Wrzask, jaki wstrząsnął pokojem był jednym z tych, które na chwilę zatrzymują serca człowieka. Z otworu na oko wydobywał się dym. Do pomieszczenia, niczym mrówki, wpadli rapugezi. Postać jednak trzymała nieustannie swój miecz i już w pierwszym uderzeniu dwóch z nich padło na ziemię. Niczym thur tratujący stada hien, przedzierał się do okna, przez które wyskoczył. Adalbert ścisnął silnie rękę. Z łzami bólu patrzył na lewą dłoń, która już nie była częścią jego ciała. Dagome wiedział co robić. Błyskawicznie zabrał jednemu z rapugezów pas i zrobił Adalbertowi zacisk na rękę. Wynieśli go. Na zewnątrz, w mroku popołudnia, nie widać było już rycerza Aurum Fratrum, lecz pozostała, leżąca w śniegu, złota maska, z której prawego oka, spływała łza krwi.

XI

Na ulicy miasta stał Dagome. Delektował się delikatnym mrozem, jakim muska twarz, każdy płatek śniegu. Noc była piękna, najczarniejsza ze wszystkich pięciu które dotąd widział. Usłyszał za sobą kroki. Przyszedł do niego Viento.

- Panicz Adalbert prosił by ci to przekazać – powiedział, podając Dagome jego kulę. Gdy otworzył, jaśniała fioletowym światem otnatu – oczywiście wczoraj użył jedynie małego kawałka kryształu i dużego brylantu, by wydawał się większy.
- Oczywiście – uśmiechnął się Dagome.
- Jeszcze to – podał mu dużą sakiewkę.

Dagome spojrzał na niego i uśmiechnął się jeszcze bardziej. Następnie ściągnął koszulę, założył na gołe barki swój płaszcz i zabrał jedynie kulę. Krótco pożegnał się z Viento i skierował do Podziemi. Po pewnym czasie udało mu się znaleźć No. Wyciągnął go na zewnątrz. Chłopak nadal był nagi i pobity. Dagome założył na niego swój płaszcz.

- Teraz masz odzienie – rzekł – pójdziesz zaraz na nabrzeże i znajdziemy ci pracę dla kogoś w mieście.
- Ale... – wybełkotał No przez łzy – jak no ty?
- O mnie się nie martw – uśmiechnął się Dagome – ja również zapracuję na nowe życie.

Zbliżał się świt, jak również Pory Zmierzchu. Zza horyzontu, po raz pierwszy od miesiąca wyszło słońce, oświetlając ohydne miasto Zantari, skąpane w białym puchu. Dagome i No skierowali się na nabrzeże.

Za nimi zaś wodził wzrokiem zakapturzony mężczyzna, z jednym okiem.